

dają się tem więcej nieprawdopodobne, że ta sama depesza zapewnia, iż tylko mały oddział japoński próbował przeprawy przez rzekę. Byłoby to jednak możliwe z tego względu, że, jak się zdaje, rosyjskie strażnice przednie nie stoją bezpośrednio nad rzeką, lecz w pewnym oddaleniu od jej brzegu, prawdopodobnie tam, gdzie znajdują pomyślnie pozycje obronne u podnóża gór. Początek operacji nad rzeką Jalu jest już w każdym razie rzeczą dokonaną. Rozwinięcia ich oczekiwać należy w nadchodzącym tygodniu. W sobotę *attachés* wojskowi z obcych państw, przebywający w Tokio, wyruszyli dopiero do głównej kwatery generała Kuroki; główny sztab japoński zapewnił ich, że wcześniej nie zobaczą nic ciekawego. Ponieważ podróż do Nagasaki koleją trwa 24 godzin, a parowcem z Nagasaki do Yongamfo nad ujściem rzeki Jalu 36 godzin, *attachés* przybyli na front dopiero we środę, albo we czwartek. Dzienniki zagraniczne czynią uwagę, że jest rzeczą możliwą, iż japończycy wzywają umyślnie oficerów zagranicznych, aby tem jawnem oznaczeniem terminu przeprawy przygotować nowy podstęp. Zdaje się być jednak rzeczą od kilku dni jasną, że japończycy skupiają obie armie nad rzeką Jalu, że jest ich tam zatem przynajmniej około 120 tysięcy ludzi. Druga armia wylądowuje jeszcze podobno w zatoce Czyel-San, w odległości 20 kilometrów od Widzu. Armia Miszczenki i Kasztalińskiego będzie miała, zdaje się, zadanie nie tyle przeszkodzenia samej przeprawie, ile powstrzymania jej, i opóźnienia i zadania o ile można najskuteczniejszych nieprzyjacielowi ciosów. Strategiczny referent paryzkiego *Tempsa*, Bernet, nazywa siły rosyjskie, stojące pomiędzy Kioulientse a Tatungkou maską obronną, kurtyną wojsk właściwych, które gen. Kuropatkin, zorientowany się co do właściwych celów sztabu japońskiego, skupi we właściwym miejscu dla stoczenia z wdzierającą się armią decydującej bitwy.

Obecnie, jak oblicza Bernet, od Tatungkou aż do Sukoszin, nadrzecznej miejscowości koreańskiej, stanowiącej punkt graniczny przejścia japończyków przez Jalu w roku 1894, jest odległość trzydziestu kilometrów; na całej tej przestrzeni rosyanie zmuszeni są czuwać nad ruchami nieprzyjaciela; przyjmując za podstawę rachunku jednego żołnierza na przestrzeń jednego metra, twierdzi Bernet, że do takiej obrony, jaką powierzył gen. Kuropatkin generałom Miszczenko i Kasztalińskiemu, potrzeba ogółem 30,000 ludzi, a więc dwóch brygad strzelców po 13,000 ludzi, i dywizji kawalerii z 4,000 ludzi. Panując nad wyspami leżącymi naprzeciw Widzu, rozporządzając wyniosłościami prawego brzegu, które wszędzie górują nad brzegiem lewym i dostarczają pięknych stanowisk dla artylerii, mogą rosyanie w danych warunkach stawić nawet znacznie mniejszą niż japońska siła skuteczny i pomyślny opór.

Umieszczona na stronie trzeciej fotografia załogi „Bajana”, zgrupowanej dokoła masztów swego statku, jest jedyną w swoim rodzaju grupą; fotografię zdjęto już w Porcie Artura po wybuchu wojny w jednym z dni wytchnienia i spoczynku. Wiadomo, że „Bajan” odznaczył się w walkach fatalnego dnia 13 kwietnia i że wyszedł z nich cało a nawet z tryumfem; okręt ten ma o tyle wyjątkowe znaczenie wśród eskadry krążowniczej, że posiada aparat telegrafu bez drutu, łączący go z twierdzą i z naczelnym wodzem floty. Telegraf bez drutu, ten zadziwiający wynalazek Marconiego, po raz pierwszy znajduje zastosowanie w wojnie rosyjsko-japońskiej. Wiadomo, że używał go Togo do swego podstępного manewru, który poprzedził zgubę „Petropawłowska”; oddaje on niezawodnie duże usługi, ma jednak także poważne strony ujemne i dla tego niepodobna go zastosować w bardzo szerokiej mierze. O niekorzyściach tych, których świeżo doświadczyli japończycy, dają wyobrażenie informacje, jakie świeżo nadeszły o przebiegu wydarzeń przed portem w Gensan. W poniedziałek po południu admirał Jessen krążąc ze swojemi pancernikami wśród gęstej mgły na wodach morza Japońskiego pod Genzanem, dostrzegł na swoim aparacie telegrafu bez drutu znaki, których nie zrozumiał. Nie ulegało wątpliwości, że znaki te stanowią reakcję depesz, przesyłanych wzajemnie przez znajdujące się gdzieś w pobliżu okręty wojenne japońskie, które w ten sposób zdradziły swoją obecność.

Admirał Jessen przestrzeżony poczynił potrzebne zarządzenia i wysłał torpedowce do Władystoku, aby bezzwłocznie doniosły eskadrze portarturskiej w drodze telegraficznej, że flota admirała Togo najwidoczniej rozdziwiła się i że część jej krąży już po morzu Japońskim. Tak więc okazało się w po ważnym wypadku to, co już niejednokrotnie przewidywano podczas morskich manewrów, że aparaty Marconiego i jemu pokrewne zdradzają tych, którzy się niemi posługują. Nie przenoszą one wiadomości i rozkazów sobie powierzonych dyskretnie tylko pod zamierzonym adresem, jak to czyni drut telegraficzny, ale przeciwnie rozszerzają je we wszystkich kierunkach rózny wiatrów przez powietrze, tak iż statki przeciwnika, znajdujące się w danym okręgu dokładnie je mogą pochwytać. W danym specjalnym wy-

padku admirał Jessen nie zrozumiał pochwyconych sygnałów, wskazały mu one jednak obecność nieprzyjacielskich statków w niezbyt dalekim okręgu i umożliwiły poczynienie odpowiednich środków ostrożno-



General-major Miszczenko

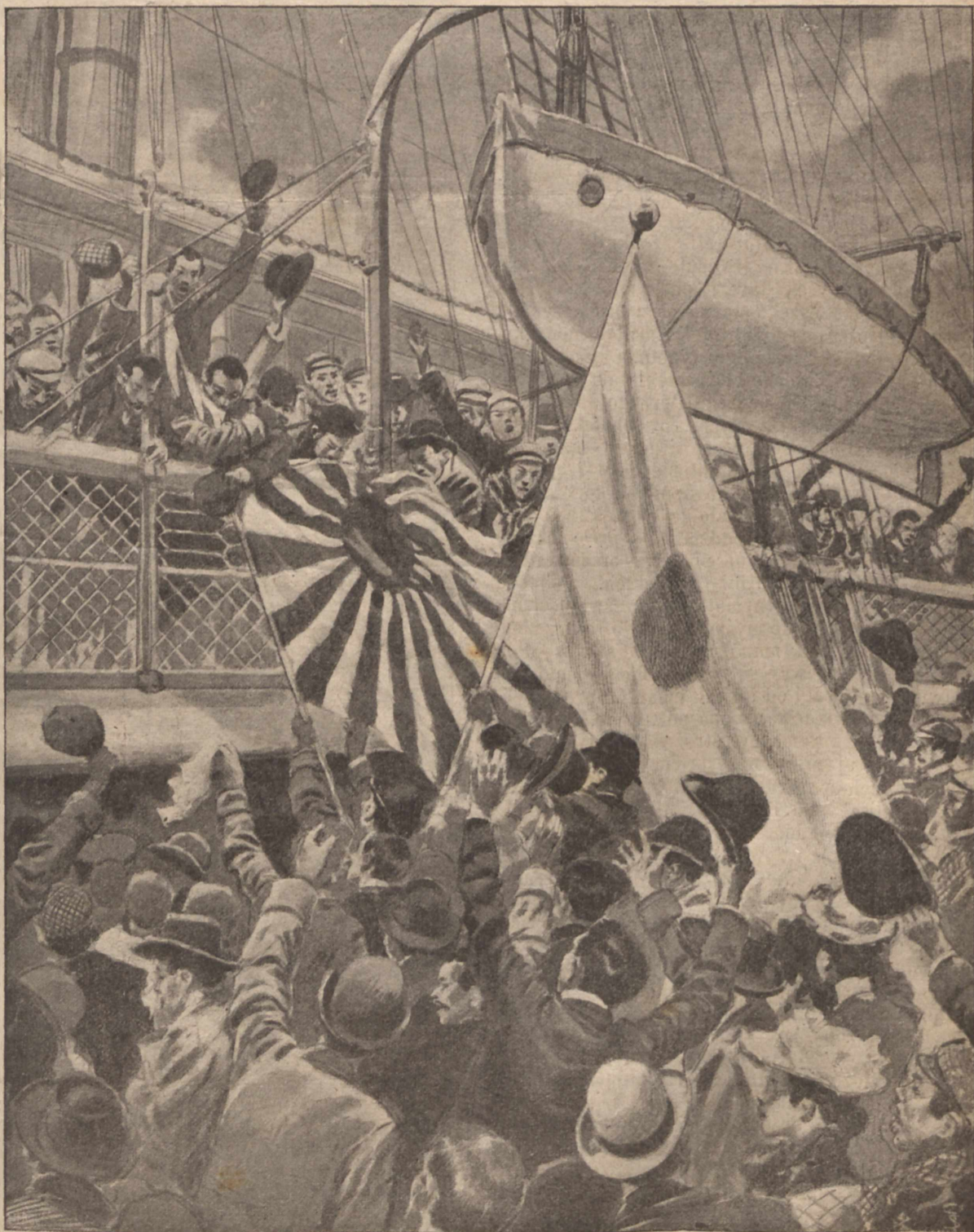
dowódca brygady kozaków zabajkałskich strzegącej przejścia przez rzekę Jalu.

ści. Przy dłuższym trwaniu wojny jest rzeczą możliwą, że naprzykład wskutek zabrania jakiegoś okrętu i znajdujących się na nim papierów, albo przez zdradę, tajny system sygnałowy jednej ze stron wojujących dostać się może do wiadomości przeciwnika. Gdy się zna już system, domyslenie się klucza cyfrowego nie przedstawia nieprzewycięzonych trudności; jest więc rzeczą jasną, że w takim wypadku wszystkie korzyści sensacyjnego wynalazku w wojnie mor-

skiej staną się illuzoryczne albo nawet zamienić się mogą w poważne szkody.

Duża ilustracja przedstawia pożegnanie odpływających z San Francisco na transportowcu „China” rezerwistów i ochotników japońskich. W San Francisco mieszka bardzo wielu japończyków; jest to najbliższe im miasto portowe brzegu białego świata. Napływają też do niego skwapliwie nawiązując przyjazne z amerykańkami stosunki. Jeden z korespondentów opisując San Francisco twierdzi, że krajobraz ram tego miasta jest prawie piękniejszy od okolic Neapolu: większą ma różnorodność form ładu i wody. San Francisco różni się też ogromnie od monotoności innych miast amerykańskich. Szerokie, wybornie wybrukowane, czyste ulice przypominają paryzkie bulwary. I tutaj są gmachy przeraźliwej wysokości, ale w przeciwieństwie do nowojorskich, znaczą na nich staranność o piękno formy. Mało jest tak pięknych ulic na świecie jak Market Street: piękna jest za dnia gdy śmiejące się słońce południowe zanurza jej wesoły ruch w morzu złotego światła, piękniejsza późnym wieczorem, gdy setki tysięcy elektrycznych lamp nad wystawami nieskończonego szeregu sklepów zapalają się w białych i niebieskich barwach. Panuje tu bogactwo, przepych, wygoda. Pojmuje się, że tu jest stolica „Złotego Zachodu”, jak z dumą mówią o swoim kraju kalifornijczycy. Kobiety nawet w Paryżu nie noszą bogatszych toalet. Praca opłacana jest hojnie: murarze i rzemieślnicy budowlani zarabiają po 5—9 dolarów dziennie. To też japończycy skwapliwie przyjeżdżają tu po zarobek i przywożą swoje towary, różnobarwne jedwabie i tkaniny, brzozy, porcelany i osobliwości. Wywożą też ztąd złoto pełnymi kublami.

Pobudka wojenna odwołała teraz sposobnych do broni na służbę krajowi. Odpływają chętnie, rzucając bogate zarobki, żegnani z zapalem przez tych, którzy zostają na miejscu. Wielu żegna się już na zawsze z pięknem, gościnnym miastem: idzie na śmierć i zgubę. Nietylko kula przeciwnika położyć może kres niejednemu silnemu jeszcze życiu, ale i tysiące



Odjazd ochotników japońskich z San Francisco w Stanach Zjednoczonych na pokładzie okrętu transportowego „China”.

Lekarze warszawscy na Dalekim Wschodzie.

XI^{-ta} grupa.



T. Podczaski.



M. Goldflam.



Jan Brudnicki.

kłęk związanych nieodłącznie z zgrozą wojny. Choroby powalają o ziemię wielu tych, którzy odjeżdżając, jeżeli myśleli o śmierci, wyobrażali ją sobie inaczej, chlubiąc, na polu walki, z bronią w rękę.

Jak wiadomo z depeesz, nadchodzących z dalekiego Wschodu, wśród wojska japońskiego na Korei szerzy się choroba „kakke”. *Nowosti* podają o niej następującą wiadomość: Nazwa choroby, pospolitej w Japonii, pochodzi, jak się zdaje od wyrazów „kiak” — noga i „ke” — powietrze. Dotknięci nią, idąc, podnoszą kuczowo do góry całą stopę i wyginają nogę w kolanie; po chwili noga opada, lecz chory stawia ją na ziemi nie całą stopą, lecz przednimi palcami. Van Overbeck de Meijr powiada, że chorzy na „kakke” wyglądają, jak gdyby co dopiero wyszli z zimnej wody. Przyczyny tej choroby dotąd nie wykryto. Jedni przypisują ją karmieniu się rybą w rodzaju skumbryi, inni mikrobom krwi i mózgu, inni pasorzytom kiszek. To pewna, że źle karmieni piechurowie japońscy zapadali na nią epidemicznie, kiedy lepiej odżywiani marynarze japońscy okazywali się odpornymi na nią. Przebieg choroby bywa najrozmaitszy: występuje nagle lub powoli, znika po kilku tygodniach lub sprowadza śmierć, bądź natychmiastową, skutkiem zatrzymania działalności serca, bądź też powolną, skutkiem wycieńczenia. W złych warunkach klimatycznych, podczas wilgotnej pory roku, choroba przybiera rozmiary epidemii.

Ostatnią stronicę dodatku zajmuje ilustracja przedstawiająca modlitwy o powodzenie broni wojsk japońskich. Żony, narzeczone i matki marynarzy floty japońskiej, dla której port w Sasebo jest operacyjną strategiczną podstawą, co wieczór udają się do świątyni Tokoshira, największej w tem portowym mieście i odbywają stukrotnie spacer pomiędzy bramą zewnętrzną tej świątyni, a sanktuarium, w którym rozsiada się posąg bożka. Przystępując do tych obowiązkowych spacerów każda z dam trzyma wiązanek, złożoną ze stu kawałków barwnego papieru; dochodząc do świątyni, piękna dama kłęk i składa u stóp bożka jeden z tych kawałków. Jestto dowcipny sposób ścisłego obliczenia liczby spacerów. Gdy się kładzie ostatni skrawek papieru, nabożeństwo jest skończone.

Ilustracja przedstawia ładny typ kobiety japońskiej. W ogólnem zainteresowaniu Japonią, japonka zajmuje dziś nieostatnie miejsce. To też więkzej niż kiedykolwiek aktualności nabiera dziś piękna książka Lotiego „Madame Chrysanthe”, opisująca wrażenia tego znakomitego pisarza, dzielnego oficera i członka Akademii francuskiej z pobytu w Nagasaki i z pożycia z piękną „moussą” Kikon-San.

Japonki podobne są do lalek; Loti twierdzi, że sprawia to wrażenie nader miłe i tłumaczy, że wywołane jest nie tylko okrągłymi, nieruchomymi, jakby



Zdjęcie fotograficzne załogi krążownika eskadry portarturskiej „Bajan”, który odznaczył się w walce z dnia 13 b. m. i wyróżnia się posiadaniem aparatu telegrafu bez drutu, łączących go z twierdzą Portu Artura.

pozbawionemi wyrazu twarzyczkami, o brwiach bardzo oddalonych od oczów, ale nadewszystko przesadną obszernością ich strojów. Rękawy są tak wielkie, że zdaje się, jakby między nimi nie było ani pleców ani ramion; delikatne osobki nikną w szerokich sukniach, które powiewają, jakby na małych marynetkach bez ciała i które jakby lada chwila spaść mogły z uich na ziemię, gdyby w kibici nie były przewiązane szerokimi jedwabnymi przepaskami.

Inny to—pisze Loti—sposób pojęcia kobiecego kostiumu niż u nas, gdzie idzie o to, aby suknia przylegała jaknajściślej po form prawdziwych czy fałszywych.

Nie od rzeczy będzie także, skoro już mowa o modlitwach i nabożeństwach japońskich, przypomnieć z książki Lotiego jeden z najpiękniejszych jej rozdziałów, najbardziej efektownych barwnością i świeżością stylu. Loti w Nagasaki z kolegami, ze swoją „mousma“ i jej przyjaciółkami wybiera się na wieczorną przechadzkę:

„Miasto ożywione, jak w porze wielkiego święta. Jest to istotnie noc wędrówki do wielkiej świątyni „Skaczącego Żółwia“. Ulice pełne ludzi; tłum płynnie falą śmiejącą się, kapryśną, powolną, nierówną, ale porusza się cały w jednym i tym samym kierunku, do jednego celu. Powstaje gwar ogromny, a jednak lekki; góruje w nim śmiech i grzeczne formuły wymieniane półgłosem. Latarnie i latarnie... w życiu nie widziałem ich tyle, tak upstrzonych, tak skomplikowanych, tak nadzwyczajnych. Idziemy pociągnięci tą falą ludzką, jakby uniesieni przez nią. Gromady kobiet wszystkich stopni wieku, w strojnych toaletach; nadewszystko niezliczona liczba pań z gałązkami kwiatów, albo srebrnym fiokiem we włosach; małe, zmięte twarzyczki, oczęta ledwie otwarte jak u małych kociąt, policzki okrągłe i blade, trzęsące się nieco przy kącikach półotwartych ust: ładne są bądź co bądź te małe japonki przez swoją dziecinność i swój uśmiech. Wśród mężczyzn wiele okrągłych europejskich kapeluszy, włożonych dla tem większej pompy przy długiej sukni narodowej i uzupełniających dobrze całość wesołych brzydotek, mających w sobie coś z tresowanych małp. Trzymają w rękach gałęzie, czasem nawet całe drzewka, z których wiszą, wmięszane między liście, najdziwniejsze ze wszystkich latarnie o formach djabelków i ptaków.

W miarę jak posuwamy się w kierunku świątyni, ulice stają się tem ludniejsze, tem hałaśliwsze. Teraz wzdłuż domów stoją już niezliczone kramy: wystawione są na nich cukierki o wszelkich barwach, zabawki, gałęzie kwiatowe, bukiety, maski. Maski przedewszystkiem: przepelnione niemi paki i wózki; najbardziej rozpowszechniona jest maska przedstawiająca błąd, przebiegły pysk, ściągnięty kurczem śmiertelnym, z wielkimi prostymi uszami i ostremi zębami białego lisa, poświęconego bogom ryżu. Są także inne figury symboliczne bogów i potworów, zsińskie, wykrzywione, pokurezone o prawdziwych włosach i prawdziwej szerści. Rozmaici ludzie, nawet dzieci, kupują te straszdyła i kładą je sobie na twarz. Sprzedawane są także wszelkiego rodzaju instrumenty muzyczne; dużo ogromnych trąb kryształowych o dziwnym dźwięku, długich najmniej na dwa metry; głos ich nie przypomina nic znanego; możnaby myśleć, że odzywają się z pośród tłumy olbrzymie indyki, gulgocące dla wzbudzenia postrachu.

Wzdłuż ulic, które wiodą do świątyni, ludzie bogaci w domach wystawili całe serye wazonów i bukietów. Forma poddaszy, jakie mają wszystkie mieszkania tego kraju, rodzaj wystawy jarmarcznej i estrady zawsze z niemi połączony, ułatwia tego rodzaju pokazy rzeczy wykwiłnych; pootwierano i pościągano wewnątrz mieszkań zasłony, okrywające wnętrza mieszkań; przed temi draperjami, przeważnie białemi i nieco opodal przechodzącego tłumy, ułożono systematycznie przeznaczone do wystawienia przedmioty i oświetlono je jaskrawo, powieszonymi powyżej lampami. W bukietach nie ma prawie wcale kwiatów: liście tylko, niektóre wątle i rzadkie, niebywale; inne wybrane jakby umyślnie pomiędzy najzwyczajniejszymi ale ułożone ze sztuką, która czyni z nich coś nowego i wytwornego; zwykle liście sałaty i dużej kapusty ugrupowane w pozach przedziwnie sztucznych i włożone do kunsztownych urn. Wszystkie wazony są z brązu, ale rysunek na nich jest nieskończenie urozmaicony, najzmienniej fantastyczny; są rysunki skomplikowane i wymęczone; inne, i tych jest więcej są wyszukane i proste — ale o prostocie tak wyszukanej, że dla naszych oczu jest to jakby rewelacja rzeczy nieznannej, jakby przewrót we wszystkich naszych nabytych pojęciach o formie.

Ulice pną się ku górze (świątynie zawsze umieszczone są na wyniosłościach), a w miarę jak wstępujemy wyżej, do feeryi latarni i kostjumów dołącza się inna jeszcze, daleka, niebieskawa, mglista: to całe Nagasaki z pagodami, gorami, spokojnemi wodami pełnemi blasków księżycy, podnosi się jakby równocześnie z nami w powietrze. Zwolna, krok za krokiem, jeżeli tak można powiedzieć, powstaje ono nokoło, otaczając się na wszystkich pierwszych planach

wielką osłoną przezroczystą, wśród której mienia się czerwone światła i chorągwie wszystkich barw.

Zbliżamy się niewątpliwie do celu, bo oto olbrzymie granity świątynne, schody, bramy, potwory. Dziedzieniec świątyni—przybyliśmy.

Jest to ostatni i najbardziej zadziwiający obraz tej wieczornej feeryi—obraz świetlany i głęboki, o dalekich tłach fantastycznych, oświetlonych przez księżyc, obraz, po nad którym drzewa olbrzymie, święte kryptomerye, rozciągają jakby sklepieniem swoje czarne gałęzie.

Usiedliśmy pod girlandami kwiatów jednej z licznych małych herbaciarni, zaimprovizowanych w tym dziedzińcu. Znajdujemy się na terasie, powyżej wielkich schodów, przez które tłum nieustannie napływa, i u stóp bramy, która się rysuje jednym rzutem na tle czarnego nieba ze skupioną masywnością kolosa; u stóp także potworu, zniżającego ku nam spojrzenie wielkich kamiennych oczu, śmiech i złośliwy wyraz. Ta brama i ten potwór stanowią dwa wielkie gnębiące przedmioty pierwszego planu na nieprawdopodobnej dekoracji dzisiejszego święta; odcinają się one z zawrotną nieco zuchwałością na niższym bładniebieskiem, popielatym tle, stanowiącym dal, powietrze, próżnię; po za nimi roztacza się Nagasaki, widoczne jakby z lotu ptaka, bardzo słabo rysujące się na przejrzystej ciemności, z miryadami małych barwnych ogników; dalej góry na niebie pełnym gwiazd szkicują swoje przesadnie zbiegłe kontury; niebieskawe na niebieskawem, przezroczyste na przezroczystem. I zakątek przystani ukazuje się także bardzo wysoko, bardzo niezdecydowanie, bardzo blade, podobny do jeziora, położonego w chmurach; wodę rozpoznać można tylko po blasku księżycowego światła, które sprawia, że wygląda jak srebrzysty obrus.

Dokoła nas gulgocą ciągle długie kryształowe trąby. Jak cienie z fantasmagoryi przechodzą i mijają grupy ludzi ugrzeczniczonych i nikłych, dziecinne gromady panienek o małych oczętach i świeżym nieznanym uśmiechu, w pięknych świecących fryzurach, spiętych srebrnymi kwiatami. I mężczyźni bardzo brzydecy przechadzają się nieustannie, z zawieszonymi u szczytu trzymanych w ręku gałęzi latarniami w kształcie ptaków, bogów i owadów.

Po za nami świątynia, cała oświetlona, cała otwarta; bonzowie siedzą w nieruchomych pozycjach, w sanktuariach świecących złotem, a zamieszkałych przez bóstwa, chimery i symbole. Tłum z gwarem monotonnym śmiechów i modlitw cisnie się dokoła, rzucając pełnemi dłońmi ofiary; z dźwiękiem ustawicznym metal monety upada na ziemię, w ogrodzenie przeznaczone dla kapłanów, w którym maty białe znikają całkowicie pod pieniędzmi wszelkiej wielkości, piętrzącami się jakby po potopie srebra i brązu.

Głou!... głou!... głou!... odzywają się powolnie kryształowe trąby; doniosłość ich jest jakby potężna, ale zarazem przykra i stłumiona w wodzie. Wszędzie grzechoczą grzechotki i trzeszczą głucho klaskawki. Mamy wrażenie, że jesteśmy także przejęci ogromnym porywem tej niezrozumiałej wesołości i że się z nią mięsza w proporcji, której nawet nie umiemy ocenić, coś mistycznego, dziecinnego i grobowego zarazem. Bałwany, których domyślamy się po za nami w świątyni z modlitw zmieszanych dochodzących tu do nas, sięją rodzaj zgrozy religijnej; czujemy to, widząc te lakierowane głowy białych lisów na mijających nas od czasu do czasu twarzach ludzkich, i wszystkie inne okropne blade maski...



Pielgrzymka „stukrotna“ w świątyni „Tokoshira“ w Sasebo.